Nr 50. Kraków, 16 Grudnia 1893. Rok III.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya przy ulicy Straszewskiego l. 22.

KRAKUS

Prenumerata wynosi

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Upraszamy o wczesne odnowienie przedpłaty na rok 1894, która wynosi:

	rocznie	półrocznie	kwartalnie
Z przesyłką poczt.:	złr. **3·—**	złr. **1·50**	złr. **—·75**
W Krakowie:	„ **2·60**	„ **1·30**	„ **—·65**
W państ. Niemiec.:	„ **4·—**	„ **2·--**	„ **1·—**

Administracya „Krakusa“
w Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie
(Rynek, Pałac Spiski).

Włościanie wielkopolscy.

(Pod rządem pruskim).

(Ciąg dalszy).

Chcąc opisać wszystkie stroje w różnych stronach Wielkopolski, trzebaby grubą spisać księgę, tak są liczne i rozmaite, a często bogate. Córki i żony bogatych gospodarzy noszą czasami jedwabne spódnice, jeszcze częściej fartuchy aksamitne, sznurówki i kabatki, naszywane koronkami i innemi ozdobami; a ubiory te nie tylko są bogate, lecz i bardzo obfite. Im bogatsza kobieta, tem ma więcej stroi, ale nawet niebogate mają po kilka wierzchnich spódnic perkalowych i wełnianych, sznurówek, kabatów, chustek i t. d., nadto każda ma przynajmniej dwie watówki i flanelowe spódnice, noszone pod spodem, zwykle pąsowego i błękitnego koloru. Mężczyzni mają mniej liczny, lecz wcale drogi i ładny przyodziewek.

Rozumie się, że jak wszędzie, tak i w Wielkopolsce są ludzie biedni, nie mający zbytkownych ubrań, ale nawet tych nie widzieliśmy nigdy obdartych, brudnych. Zdarzy się wprawdzie tu i owdzie nieporządna kobieta lub chłop niedbający o siebie, lecz ogół ludności przedstawia się czysto, porządnie i ładnie odzianą; chyba tylko do bardzo brudnej pracy w polu, w czasie słoty używają starego, zniszczonego odzienia. Najmniej może czysto ubrane są dzieci, zwłaszcza małe, ale rodzice, szczególniej matki, mające te rozkoszne, małe istotki, wiedzą, jak to trudno uchronić je od brudu i dziur.

3. Jak mieszkanie i ubranie, tak i żywność wielkopolskich chłopów zależy od ich większego lub mniejszego mienia. Mało jest jednakże tu chat włościańskich, w którychby raz na raz nie było chleba. Tam go chyba brakuje, gdzie robotnik leni się do pracy, gdy jest pijak i marnotrawca, gdy żona nie gospodyni; wreszcie w domach wdów, licznemi dziećmi obarczonych. Chleb najczęściej gospodynie pieką same, chociaż trafiają się i takie, które wolą kupować go od piekarzy. W wielu okolicach jedzą wszyscy włościanie, choćby i najbogatsi gospodarze, chleb razowy, zwany zwykle żarnowym, dlatego, iż jest wypiekany z grubej mąki, jaką dawniej na żarnach mielono; dziś jednak mimo. że ją mielą na młynach, nie pytlują jej i ospy nie oddzielają. Chleb razowy jest bardzo posilny, to też tam, gdzie go jedzą, są ludzie silni i krzepcy. Są przecież takie strony, gdzie chleba razowego prawie nie znają i najuboższy wyrobnik miałby sobie za krzywdę jeść go; wypiekają więc tylko chleb z mąki pytlowej.

Chociaż zwykle perki i kapusta bywają uważane za główne pożywienie włościan i powszechnie się mówi, gdy się perki nie obrodzą: „perek nie ma, będzie bieda“, to przecież włościanie jedzą dużo mącznych potraw: więc kluski żytnie, jęczmienne, pszenne i nagie, to jest robione z utartych na surowo perek; dalej kaszę jeczmienną, tatarczą, pęcak, jagły i dużo ryżu, za to jarzyn mniej używają i nie bardzo je lubią, wyjąwszy kapusty, która w niektórych okolicach musi być codzień na stole.

Gospodarze, choćby najbogatsi, jedzą to samo co czeladź i razem z nią z jednej miski. Mężczyźni zasiadają przy stole, kobiety zaś jedzą, najczęściej stojąc, a wszyscy sięgają do miski zdaleka, jedząc bardzo powoli.

Majętniejsi gospodarze jedzą mięso trzy razy w tydzień: w niedziele, wtorki i czwartki; mniej zamożni i niektórzy mający się lepiej ludzie służebni raz na

tydzień, a zupełnie biedni przynajmniej kilkanaście razy do roku, święta i uroczystości rodzinne, wszyscy zaś prawie codzień w czasie żniw. Co mienniejsi kupują mięso od rzeźnika, lecz częściej jeszcze, zwłaszcza też ubożsi, jedzą to, co w domu uchowali; więc pospolicie króliki, kaczki, gęsi; a już każdy, mający się jako tako, chłopek musi raz na rok zabić „tucznika", to jest utuczonego wieprza. Zabijają go zwykle albo na Boże Narodzenie, albo na zapusty. Kiszki i niektóre części mięsa jedzą na świeżo, kiełbasy zaś, szynki, schaby, sadło, słoninę solą i wędzą, zachowując wędliny na święta i do kraszenia potraw.

Rano na śniadanie gotują najczęściej polewkę, jest to zupa z mąki, kwaśnego mleka i wody; w poście zaś żur; jedno i drugie jedzą z perkami pokrajanemi w kawałki. W zimie spożywają włościanie śniadanie przed wyjściem do roboty, latem natomiast wychodzą z domu naczczo; dopiero około siódmej zasiadają do śniadania tam, gdzie pracują, więc w polu, podwórzu i t. d.; żony i dzieci przynoszą ojcom, mężom lub czeladzi polewkę w dzbankach, do której dodają kawał chleba z masłem, serem, słoniną, smarzonemi jajami lub ze śledziem.

Na południe schodzą się wszyscy do domu, gdzie jedzą razem obiad, składający się zwykle z dwóch potraw. Na pierwsze danie idzie kapusta mięszana z perkami lub grochem, w lecie zaś sałata albo ogórki doprawione kwaśnem mlekiem, octem i solą; na drugie danie kluski albo kasza z kwaśnem mlekiem, czasem jagły lub ryż, albo też jaka jarzyna, naprzykład: marchew, brukiew i t. d. Jeżeli na obiad jest gotowane mięso, to najpierw jedzą je z kapustą, potem dopiero rosół z kluskami, z ryżem, perkami lub białym grochem. Często też gosposie, mając kawałek mięsa lub skórki od słoniny, lubią gotować tak zwane „kwaśne"; mięso ugotowane pokrają wtedy w kawałki i zostawią w rosole, który zaklepują kwaśnem mlekiem z mąką i odrobiną octu, do tego jedzą najchętniej kluski albo też perki. Gotują także, mianowicie w poście, tak nazwany „kwas" ze soku kwaszonej kapusty, mąki, kilku suszonych grzybów, lub gruszek, jabłek i masła; dalej „ślepe ryby", jest to zupa z perek, pokrajanych w plasterki, ugotowanych z włoszczyzną, pieprzem i masłem, albo słoniną.

Na kolacyę, mianowicie w zimie, jadają polewkę, kroszunkę (są to małe, twarde kluseczki, gotowane na mleku lub wodzie, masłem albo słoniną okraszone), nawarkę (mąka w gotującą się wodę wsypana i okraszona), smolkę (tak nazywają zupę z wody i z chleba w kostki pokrajanego), żur i kwas; do każdej z tych zup dodają perki pokrajane w kawałki lub tarte. Latem jedzą bardzo często na kolacyę perki tarte, kraszone z kwaśnem mlekiem, albo też kluski jałowe, wystudzone, mlekiem polane; niekiedy znowu gotują perki w łupinach, które obierając na stole jedzą z masłem, ze śledziem lub z gzikiem (jest twaróg utarty, słodkiem mlekiem rozrobiony tak, aby utworzył papkę, doprawiony cebulą, szczypiorem i pieprzem).

Na podwieczorek posilają się chlebem tak samo, jak na śniadanie, zawsze czemś posmarowanym; tylko bardzo biedni zadawalniają się czasem chlebem suchym, to jest bez żadnego dodatku.

W niedzielę na śniadanie a niekiedy i na podwieczorek piją prawie już wszyscy włościanie kawę, do niej zaś jedzą chleb z masłem. *(C. d. n.)*

Wieczne odpoczywanie, racz mu dać Panie!

napisał

X. Zygmunt Chełmicki.

(Ciąg dalszy).

Istotnie Kos miał słuszność, w miarę jak rósł wpływ X. Anzelma, jak serca Jaworzan skłaniały się ku niemu, Młynarski uczuwał do niego nienawiść nieprzezwyciężoną. Właściwie sam nie umiał sobie wytłómaczyć tego uczucia. Czy źródłem tego stał się występek, który do cna zniszczył w duszy wszelkie lepsze skłonności i popędy, czy też był to bunt przeciwko ogólnemu prądowi, któremu postanowił się bronić wszelkiemi siłami, czy wreszcie sprawiła to pycha, która kazała mu wierzyć, że jest prowodyrem reszty mieszczan, a ztąd widząc zachwiane swoje stanowisko, uczuwał gniew i żal względem tego, co je podkopywał, dosyć że wstrząsał się na każdą myśl, na każde wspomnienie o jaworzyńskim proboszczu. Nikt go dotąd nie widział w kościele; przechodzącemu kapłanowi o ile nie zdążył zejść z drogi, nigdy się nie pokłonił; o jego działalności mówił z szydrstwem, a tych, którzy ku niemu ciągnęli, unikał i widoczną okazywał pogardę. W domu panowało u Mądrali istne piekło. Przy lada okazyi wpadał w gniew straszny. Żonę i dzieci bił wtedy bez miłosierdzia, rzucał plugawe przekleństwa, a widząc, że z przerażenia i obawy zaczynają go unikać, popadał w wściekłość.

X. Anzelm przeczuwał w Mądrali nieubłaganego wroga swego i bolał nad tem bardzo. Nie o siebie mu chodziło bynajmniej, ale wiedział on, że nawrócenie go z występnej drogi i usunięcie zprzed oczu Jaworzan tego ostatniego, gorszącego przykładu, będzie w tych warunkach rzeczą trudną, kto wie, może nawet niemożliwą. Jako doskonały znawca natury ludzkiej lękał się poprostu dla swoich duchowych rekonwalescentów recydywy, którą łatwo Młynarski swoim złym wpływem

Wiec redaktora „Wieńca" i „Pszczółki".

W dalszym ciągu otrzymał *Krakus* od poczciwego Piotra z Półwsia Zwierzynieckiego następujący list o tym wiecu: „Kochany *Krakusie!* Miałem ja ten list jeszcze do tamtego numeru przesłać, ale nie było czasu napisać, bo mi wypadła inna pilna robota. Na wiec poszedłem z ciekawości. No, dziś powiem, że lepiej nawet takiej ciekawości nie mieć: bo czy to co przyjemnego patrzeć na ludzi, którzy za masońską kiełbasę, za masoński poczęstunek lub masońskie cygaro sprzedali swoją godność? Nie ja jeden, ale i inni gospodarze, co także z ciekawości tam byli, a nie dla onych kiełbas, częstunku i cygar, to samo powiedzą. Nim tam wszedłem, to już wiedziałem, co będzie, bo objaśnił mnie jeden niedorostek miastowy. Idę sobie ku budynkowi, w którym miał być wiec, a on mnie dogania i powiada:

— Czy wy gospodarzu z *Wyciąż?*

— Nie — powiadam — a czy — mówię — pan też na wiec?

— O, ja także — powiada — na wiec idę, bo jestem od *hańby.*

— A cóż to jest? — powiadam.

— To widzicie — powiada — my socyaliści jesteśmy dziś rozdzieloni na dwie części. Jak redaktor *Wieńca* i *Pszczółki* podniesie rękę, to ci, co są od *brawa*, będą klaskać w ręce i wołać *brawo!* A jak podniesie rękę i pokaże dwa palce, to ci, co są od *hańby*, będą wołać *hańba!* Ci, co sobie mogą spamiętać oba znaki, to będą robić jedno i drugie. Ja znam oba znaki, ale wolę już trzymać się *hańby*, żebym sobie nie pomylił, a redaktor *Wieńca* i *Pszczółki* i nasz redaktor p. *Reger**) bardzo nam nakazywali, żebyśmy się nie pomylili.

— A któż — powiadam — będzie tam przemawiał?

— Nikt — powiada — nie będzie przemawiał, tylko wszyscy będą czytali, bo p. *Banialuk**)* na czas mów nie przygotował. Nie było nawet czasu, żeby sobie te mowy poprzepisywali. Więc redaktor *Wieńca* i *Pszczółki* mówił: „Źle będzie, bo nie będą umieli dobrze czytać". A p. *Banialuk* na to: „Dobrze krytykować, ale co innego zrobić. Wiersz dla p. *Nalepy* długo się robił, a trudno było *starego****) naglić. Ja musiałem napisać mowę p. *Wójcikowi.* To mnie nie wiele kosztowało, bo już to samo drukowało się w naszem piśmie, ale musiałem potem napisać jeszcze wiersz na *Krakusa*, który nam najwięcej szkodzi, bo ciągle chłopów przed nami ostrzega". „A to prawda — powiada na to redaktor *Wieńca* i *Pszczółki* — że ja wam tym razem nie wiele mogłem pomódz". „To jeszcze nic — powiada na to p. *Banialuk* — ale proszę sobie wyobrazić nasz kłopot! Zawiadomiłem już p. *Wysloucha*, że wiec będzie ogromny, żeby przysłał p. *Rajwachowicza* i p. *Frankę*, a tu nagle przychodzi od posłów chłopskich ono pismo do p. Wójcika, że na wiec nie przyjadą i nie pozwalają go nazywać chłopskim. Niemasz pojęcia, co się tu z na-

*) Socyalista krakowski, który wydaje rewolucyjne pismo *Wtył.* (Dopisek p. Piotra).

**) Współredaktor tego pisma, co Ojca św. oczernia, współredaktor także jednego pisma ludowego, co chłopów chciałoby z socyalistami pobratać, prócz tego ajent Wysloucha i przyjaciel redaktora *Wieńca* i *Pszczółki.* (Dopisek p. Piotra).

***) Ten *stary* p. Banialuka to może redaktor pisma, co Ojca św. oczernia. (Dopisek p. Piotra).

---

mógł sprowadzić, tem więcej, że pomny był na oną przestrogę Pisma Bożego, iż duch zły, wyparty z duszy ludzkiej, zabiera ze sobą siedmiu gorszych od siebie duchów i razem wracają, aby zgubić człowieka.

Jak najczulszy ojciec dochodzi częstokroć do smutnego przeświadczenia, że wszelka dobroć, słodycz i wyrozumiałość nie zdoła nawrócić zbłąkanego dziecięcia, a chwycić się należy bolesnej sercu ojcowskiemu surowości, tak i X. Anzelm niestety zrozumiał, że Mądrali na tej drodze, na jakiej pozyskał serca innych nie przejedna i że powinnością jego jest choćby dla przykładu reszty tę uporczywość w złem napiętnować.

Nastręczała się właśnie ku temu sposobność. Nadchodziły święta Wielkiejnocy. X. Anzelm z samego rana po odprawieniu wielkosobotnich ceremonij wyruszył do okolicznych wiosek, aby poświęcić „dary Boże", które każdy według możności przygotował. Chodził tedy od chaty do chaty, żadnej najmniejszej izdebki nie ominął, rozumiejąc, jaką to jest pociechą dla każdego w tym dniu w swojej choćby najskromniejszej siedzibie sługę Bożego powitać.

Dzień był posępny, deszcz pomięszany z wielkiemi płatami śniegu padał co chwila, zimno przejmujące i wilgotne dawało się uczuć dotkliwie. Pomimo to kapłan szedł coraz dalej, zasłaniając się obszernym płaszczem od dmiącego wiatru i deszczu. Nie widać na nim było znużenia, ale przeciwnie wyraz wewnętrznego zadowolenia osiadł na twarzy. Gdziekolwiek przybywał, witano go z dziecięcą miłością i czcią, a on nawzajem dla każdego znalazł to słowo uznania, to pociechy, to zachęty. Cieszył go widok porządku i pomyślności w chatach, pochwalał więc gospodarność i zabiegliwość mieszkańców, lecz jeżeli niedostatek lub zaniedbanie uderzyły jego oczy, wnet z dobrotliwością o powody pytał i do wytrwałej pracy zachęcał. Szedł więc jak ów prawdziwy szafarz błogosławieństwa Bożego, a wraz z onemi kroplami święconej wody, którą pokarmy i ściany chat skrapiał, spływała do serc ludzkich ufność i otucha.

mi działo! *Stary* mało się nie pienił ze złości, a przeklinał chłopskich posłów, na czem świat stoi. Więc teraz dobrodziej zrozumie, dlaczego nie było czasu ani na przepisanie mów, ani nawet na wyćwiczenie chłopów w czytaniu!“.

— A o czemże te mowy będą — zapytuję się tego niedorostka.

— P. Wójcik będzie czytał o chłopach i zakończy tem, żeby tylko dobre pisma czytać. Jak on to przeczyta, tak zaraz p. *Moksa* ma się zapytać, które pisma są dobre. Jak on się zapyta, tak zaraz p. *Szarek* będzie czytał wiersz p. *Banialuka* na *Krakusa*, że jest przeciw *socyalistom* i *rewolucyonistom*. P. *Banialuk* bardzo się boi, żeby sobie nie pomylili. Kilka razy to próbowali przed nim, ale teraz po obiedzie i po napitku to kto wie, czy się im nie pomyli.

Tak sobie rozmawiając z tym niedorostkiem, przyszedłem przed on dom, gdzie miało być zgromadzenie. Patrzę — p. Wójcik przy dobrej fantazyi pali sobie drogi *cygar* i tego niedorostka puszcza i innych socyalistów jednego za drugim, a mnie zatrzymuje, że *Krakusa* trzymam.

— Mój Boże! — myślę sobie — gdzieżeś ty człowieku tego rozumu nabrał, że milszy ci bezbożnik, socyalista lub jakikolwiek *masoński usłużnik*, aniżeli ja — chłopina, co po staremu Boga się trzymam, Kościoła i wszystkich dobrych ludzi. Daj Boże, żeby ci się szczęściło, ale boję się bardzo, żeby te *masońskie usłużniki* nie wplątali cię w jakie nieszczęście i nie wyprowadzili na pośmiewisko ludzi.

Wpuścił mnie wreszcie p. Wójcik, ale pod warunkiem, że nie będę przemawiał. Bali się widać *socyaliści*, żebym nie powiedział, co o nich myślę i o tych wszystkich *masońskich usłużnikach*, co ten wiec urządzili.

Wchodzę na salę — patrzę — chłopów maloco, a wszystko inne prócz kilku ludzi, co tak samo jak chłopi z ciekawości przyszli, sami *socyaliści* i *masońscy usłużnicy*. Spotykam tu znowu onego niedorostka i pytam się, co kto jest. Pokazał mi redaktora *Wieńca* i *Pszczółki*, p. *Nalepę*, co, jak mówił, miał jakieś kłopoty z rachunkami gminnemi, p. *Szarka*, co w życiu już niejednę *kiełbasę wyborczą* i *socyalistyczną* zjadł i niejeden taki kieliszek wypił.

— A ten rudy — powiadam — w *schyzmatyckiej* koszuli co za jeden?

— To — powiada — *towarzysz Iwan Franko*, socyalista ruski, ulubieniec p. *Wysłoucha*.

— A ten kto — powiadam — ten ślepawy pan, opasany krajką?

— To — powiada — p. *Rajwachowicz*, także pomocnik p. *Wysłoucha* ze Lwowa, jak p. *Franko*.

Zaczyna się nareszcie posiedzenie. Ażem struchlał, kiedym zobaczył, że prezesem został porządny jeden gospodarz, a do stołu powołał, jak *usłużnicy* naprzód postanowili, p. *Srarka*, p. *Wójcika*, redaktora *Wieńca* i *Pszczółki* i jeszcze jakiegoś pana. Prezesa widocznie wstyd było, na nikogo prawie nie patrzył i ja też nie chcę nawet jego nazwiska wymieniać. To, co prezes czytał, nie było głupie, ale z głowy byłby pewnie lepiej powiedział, choć redaktor *Wieńca* i *Pszczółki* w kilku słowach dał do zrozumienia, że on inaczej nie potrafi. Zaczął potem czytać p. Wójcik. Mylił się w czytaniu ciągle tak, jakby rzeczywiście nie swoje pismo czytał. A czytał o jakichś *ideach*, o *logice* i Bóg wie nie o czem, czego żaden chłop nie słyszał i nie zna. Za-

---

Już pod wieczór X. Anzelm dotarł do miasta. Zmrok zapadał, a wzmagający się wiatr niósł całe potoki zimnych fal deszczowych. W oknach domostw poczęły błyszczeć światełka. Coraz otwierały się drzwi, w których znikała albo zjawiała się postać księdza, żegnanego lub witanego czule na progu i kroczącego następnie ku sąsiedniej chacie.

Oto właśnie zbliżał się do domostwa Mądrali. Nie różniło się ono wiele od reszty jaworzyńskich chałup, nieco tylko było rozleglejsze ale zarówno zaniedbane jak i tamte. Odznaczał je wysunięty w środku daszek, któremu wszakże brakowało jednego słupa, skutkiem czego pochylony ku jednej stronie daszek lada chwila groził runięciem. W oknach było ciemno, wiatr zaś zawiśniętą na jednej zawiasie okiennicą tłukł niemiłosiernie o drewnianą ścianę. U drzwi nikt nie czekał na kapłana, a wewnątrz zdawało się, jakby wszystko zamarło.

X. Anzelm przystanął, patrzył się przez czas pewien na smętną siedzibę, jakby zastanawiając się nad tem, czy mu wejść należy, poczem kiwnąwszy kilkakrotnie głową poszedł dalej.

Skończone było święcenie, ksiądz znużony całodziennem dreptaniem wrócił powoli do domu. Na dworze ściemniło się, że oko wykol, wiatr dął coraz silniej, a plusk spadającej wody głuszył kroki idącego. Nagle ujrzał przed sobą dwie postacie ludzkie, które w tą samą co on szły stronę. Zbliżył się ku nim tak, że zaledwie krok jeden dzielił go od ich pleców. Oni widocznie nie słyszeli idącego tuż za nimi, bo mimowoli uszu kapłana doleciała następująca rozmowa.

— A cóż był u was ksiądz?

— Jakżeby nie był, przecież i u was chyba także.

— U mnie? a to po co?

— Po to, co i u wszystkich, dla święcenia.

— Jeszczeby, niby to ja sam wodą pokropić nie mogę? Tak samo się przecie zje, jakby ksiądz pobłogosławił.

kończył wreszcie tak, jak mi to on niedorostek mówił. Kiwa wtedy redaktor *Wieńca* i *Pszczółki* na p. *Moksę*, żeby się zapytał, które pisma dobre. P. *Moksa* dobrze się sprawił, bo tych trzech czy czterech słów dobrze się wyuczył. Teraz miał czytać p. *Szarek*, ale jakoś zapomniał, czy też się zdrzemał. Nukają go, wstaje, wyjmuje z kieszeni i czyta, ale zupełnie co innego, aniżeli mu przeznaczono teraz czytać. Zrywa się redaktor *Wieńca* i *Pszczółki*, zrywa się p. *Banialuk*, zaglądają mu do kartki i powiadają, że nie ta. Wyciąga tę drugą i czyta, ale koślawo. Redaktor *Wieńca* i *Pszczółki* podniósł rękę i grzmi *brawo*, pokazał potem dwa palce, więc słychać i *hańba*.

Teraz zaszła rzecz, której się *masońscy usłużnicy* wcale nie spodziewali. Występuje p. *Tatara*, nauczyciel i pyta się: Panowie powiedzieliście, że *Krakus* zły, ale nie powiedzieliście, co zamiast tego czytać.

Następuje okropna wrzawa. Socyaliści wołają, żeby czytać: *Wtył*. Włościanie niektórzy pytają się, co to jest *Wtył*. Na to odzywają się głosy: Rewolucyjne pismo! P. *Tatarze* nie chcą pozwolić mówić.

— Jak to? — woła p. Tatara — usta mi zamykacie, ja mam przecież serce chłopskie, urodziłem się pod strzechą i od tylu lat pracuję nad oświatą ludową jako nauczyciel. I mnie tu nie wolno przemówić?

Masońscy usłużnicy musieli ustąpić, wrzawa ucichła. Ale jak p. Tatara zapytał się, czy chłopi mogą się godzić na *Wieńca* i *Pszczółkę*, gdzie tyle rzeczy niestósownych, wrzawa ze strony socyalistów powstała okropna. Uciszyło się dopiero wtedy, gdy redaktor *Wieńca* i *Pszczółki* zaczął się wykręcać z kłopotu. Bity on w krętactwach, ale tym razem mu nie szło.

Czytał potem znowu p. Wójcik, ale tak samo nie dobrze, jak przedtem; zżymał się na to p. *Banialuk* i redaktor *Wieńca* i *Pszczółki*, ale to nic nie pomogło. Czytał teraz o tem, że chłopi na gwałt domagają się tajnych, powszechnych, bezpośrednich, *socyalistycznych* wyborów. Myślę sobie: Skąd ty człowieku wiesz, że akurat tego do szczęścia chłopskiego potrzeba? Kiedy i gdzie upoważnili cię do tego chłopi, żebyś w ich imieniu tego żądał? Dlaczego ty się masz za mądrzejszego od posłów włościan, którzy powiadają, że socyalistyczne głosowanie byłoby zagładą stanu włościańskiego? Jakiego ty katechizmu się trzymasz, że wolisz iść za głosem socyalistów, aniżeli za głosem dobrych ludzi?

Redaktor *Wieńca* i *Pszczółki* kiwał ręką, więc razporaz socyaliści bili mu *brawo*, ale z rozumnych i poważnych włościan nikt ani palcem nie ruszył.

Zabawna bardzo stała się rzecz, kiedy była mowa o hr. *Stadnickim*, kiedy go potępiano, że w *Radzie państwa* był przeciw *socyalistycznemu* głosowaniu. Redaktor *Wieńca* i *Pszczółki* chciał, aby wołano *hańba*, ale jakoś sobie chudak pomylił i podniósł rękę, a dwóch palców nie, więc *socyaliści* rzną p. *Stadnickiemu brawo*, że aż miło. Redaktor się gniewa i macha rękami, a ci rzną *brawo* jeszcze mocniej. Pomiarkował się nareszcie, że palców nie podniósł, podnosi, ale już każdy widział, że za późno.

Zresztą nic ciekawego nie było. Ten wiersz, co go czytał p. *Nalepa*, był mdły, ale niezły, ten lwowski socyalista w *schyzmatyckiej* koszuli nic ważnego nie powiedział, nieszczególnie mówił także p. *Riger*. P. *Franko* i p. *Rajwachowicz* robili pono wyrzuty p. *Banialukowi*, że ich sprowadził, bo wiec się nie udał. Ten niedorostek, co to mnie prowadził, opowiadał mi,

---

W tej chwili dwie silne ręce spoczęły na ramionach mówiących, a jednocześnie obaj usłyszeli głośne:

— Przepraszam!

Odskoczyli nieco na bok, wiatr zadąwszy silniej odsłonił poły płaszcza, z pod którego ujrzeli białą komżę księdza. I on ich poznał, stali bowiem naprzeciwko okna domu, z którego płynęła szeroka łuna światła. Był to Kaczmarski i Mądrala. Kaczmarski, nie bacząc na deszcz, zdjął czapkę z głowy, Młynarski zaś zasępił chmurnie czoło, ręce wsunął do kieszeni i stał wyczekujący.

— Przepraszam! — powtórzył X. Anzelm — mimowoli podsłuchałem waszą rozmowę i oto przyszła mi na pamięć bajka, którą chciałbym opowiedzieć, bo piękna a nadewszysko pouczająca.

— Był sobie wróbel — jął mówić, zwracając coraz głowę to ku jednemu, to ku drugiemu — jak zwykle wróbel złodziej i łakomy. W lecie działo mu się dobrze, bo już to w ogrodach owoce wypijał, już w polu ziarnka z dojrzałych kłosów wydzióbywał. Upasło się więc wróblisko. Lecz i w jesieni głodu nie zaznał, bo młocka w stodołach dostarczała mu jadła do syta. Przyszła jednak zima śnieżna i mroźna. Wróbel nieraz całemi dniami po ziemi skakał, zanim jedno lub drugie ziarnko znalazł. Siedział przeto na dachu smutny i głodny i pióra od zimna stroszył. Siedząc tak sobie i rozpamiętywując ciężką dolę, nagle ujrzał tuż przy domu ziarnko pszenicy. Nie namyślał się ni chwili i w trwodze, by inny łakomczuch ziarna nie porwał, rozwinął skrzydła i fruuu! zleciał na ulicę. Biedactwo nie dojrzało czatującego za węgłem kota, który w tejże chwili swą drapieżną łapę na nim położył. Szczęściem kot był najedzony i wróbla zaraz nie rozszarpał, lecz począł się nim bawić, to wypuszczał, to pazurami chwytał i łapą przygarniał, to ostre zęby wyszczerzał, jakby je chciał utopić w biednej ptaszynie, to znowu głaskał żartobliwie. Wróbel tymczasem powoli ochłonął z przerażenia i korzystając z chwili, kiedy kot lekko w łapach go trzymał, w te odezwał się słowa:

że redaktor *Wieńca* i *Pszczołki* wraz z tymi redaktorami, co Ojca św. oczerniają i z Wysłouchem chcą założyć stronnictwo chłopskie, w którem by p. Wójcik był prezesem, a posłów włościan żeby zupełnie odsunąć, a potem powybierać na posłów już takich, coby ich słuchali i to wszystko robili, co oni każą. Bardzo wątpię, żeby się im to udało, bo p. Wójcik pozna się pewnie na tym podstępie, a posłowie włościanie, jak pp. *Potoczek* i *Kramarczyk* pono nie otręby mają w głowie. Słyszałem także, że w jakiemś piśmie ludowem będą ci *masońsey usłużnicy* dopominać się, ażeby posłowie włościanie coś tam u siebie poprawiali, to jest innemi słowy, żeby na ich stronę przeszli. Kiedym to słyszał, pomyślałem sobie: Urządziliście, niegodziwcy, z redaktorem *Wieńca* i *Pszczółki* wiec wbrew ich woli, sprowadziliście na ten wiec socyalistów, a teraz pewnie będziecie wołać: Źle posłowie włościanie postępują, bo z *socyalistami* się łączą. Trzeba p. Wójcika zrobić naczelnikiem, a wszystko będzie dobrze. *Wór drze i kwiczy*— to do nich stosuje się w sam raz. Niby stanowi włościańskiemu dobrze życzą, niby przeciw socyalistom są — a wszystko to fałsz, kłamstwo, obłuda, podrywka! Nie wiem, czy tak napisali, jak mówili. Jeżeli napisali, to niech kochany *Krakus* choć na kartce mi doniesie albo w *Krakusie* naznaczy*). Zasyłam serdeczne pozdrowienie *Krakusowi*.

Piotr W., z Półwsia Zwierzynieckiego.

---

*) Już napisali. (Dopisek *Krakusa*).

Dlaczego dzień przed św. Janem jest dłuższy niż w zimie.

Mądry Icek wyczytał gdzieś w książkach, że ksiądz katolicki może przyczynić dnia. Myśli sobie tak: Dobry interes; mało mi dziś chłopi skosili, to muszę pójść do księdza i prosić o przedłużenie jutrzejszego dnia, ażebym mógł skończyć jutro całą łąkę. Wziął z sobą trochę pieniędzy (ni dużo ni mało, tylko co uważał, że potrzebnem było) i stanąwszy przed księdzem, tak mówi:

— Proszę Jegomości, ażeby mi przyczynić dnia na jutro, bo ja mam łąkę do koszenia.

— Dobrze — powiada ksiądz — przyczynię ci dnia, ale ty musisz kosić z chłopami i to naprzód.

Żydek ucieszony podziękował księdzu i odszedł. Na drugi dzień rano już kosi z chłopami na przedzie. Ale cóż kiedy

Wnet u żyda mokra głowa,
W te do chłopów mówi słowa:

— Nu, chłopy, może to już czas na śniadanie.

— E, głupi żydzie — odpowiadają chłopi — koś tam, bo gdybyśmy zaraz posiadali na śniadanie, toby do południa było daleko.

Żyd, kosząc jeszcze chwilę, odzywa się znowu:

— Nu, to już teraz czas na śniadanie!

Więc już chłopstwo posiadało,
Choć za rychło to się zdało.

Po dosyć długim spoczynku powstawali do kośby. Icek po śniadaniu zmęczył się jeszcze prędzej, jak przedtem, tak niezadługo woła do kosiarzy:

„Wasza kocia mość, widzę, że zbliża się moja ostatnia godzina, ale dumny zarazem jestem, że tak piękne i zacne rozszarpią mnie zęby“. Kot kontent z grzecznych słów wróbla wypiął grzbiet, podniósł ogon i począł mruczeć zadowolony. „Lecz, rzecze dalej wróbel, jest jednak myśl, która mnie smutkiem i trwogą napełnia. Widzisz, wróbel to jak cygan, tu skradnie, tam złapie, a zawsze żyje z cudzego, więc i na mojem sumieniu wiele ciąży grzechów. Nie dziw się przeto, że boję się w tym stanie przejść na tamten świat. Wasza kocia mość, tyś wielki, miłosierny i wspaniałomyślny, więc racz na tę ciężką przeprawę udzielić mi twego błogosławieństwa“. Kot aż urósł z pychy, nastroszył sierć, zasiadł na ogonie i poważnie zaczął podnosić łapę. W tejże chwili jednak wróbel fru fruuu! i w okamgnieniu znalazł się na dachu. Jeszcze kot nie ocknął się ze zdumienia, gdy szyderczo się śmiejąc wróbel do niego woła: „A ty kpie! któż to cię wyświęcił, żebyś śmiał błogosławić!“

— Oto moja bajeczka — zakończył znacząco X. Anzelm — a teraz — dorzucił — spokojnej nocy: Niech będzie pochwalony! — i uchyliwszy lekko głowy, podążył w stronę plebanii.

Młynarski i Kaczmarski stali jeszcze przez czas pewien zdumieni, po chwili dopiero Mądrala przerwał milczenie:

— Patrzcieno — rzekł przez zęby — bajeczek mu się chce. Wiem ja dobrze, do kogo to było pite, a niechaj!

— Bo też moglibyście zaniechać waszej zawziętości, przecież on nikomu i wam także nic złego nie zrobił.

— Zrobił, nie zrobił, mniejsza z tem, ale że mnie nie złapie, to pewno. Idźcie, łaście mu się, obejmujcie kolana, bijcie się w piersi w kościele, ja tam nie pójdę, prędzej niech mnie....

Mądrala nie skończył, tylko splunąwszy wszedł do szynku. *(C. d. n.)*

— Hej chłopi! patrzcie, jak słonko wyszło wysoko! to już pewnie czas na południe.

— Czyś zwaryował, żydzie, jeszcze się wody po śniadaniu pić nie chce, a ty już wołasz do obiadu — odrzekli ze śmiechem kosiarze.

Żyd poskrobał się po głowie, targnął za pejsy, odchrząknął i kosi.

Idzie mu to dosyć składnie:
Raz mu w ziemię kosa wpadnie:

to znów przewiezie po trawie, ale Icek nie poprawia, bo się boi, żeby mu chłopi pięt nie poobcinali. Wymawia się, że mu kosa nie chce kosić.

— Poklepiesz mi ją, Kasper — powiada — jak będziemy siadać do obiadu.

— Poklepię ci kosę, ale musisz jeszcze choć z godzinę kosić — odrzekł Kasper.

Icek ramionami poruszył i na to się zgodzić musiał.

Dla ochłody,
Napił się wody

i rusza dalej kosą.

Chłopi koszą kieby z płatka,
Żyd zmęczony do ostatka.
Aj! waj! moi chłopi — rzecze,
Moja kosa nic nie siecze.
Słoneczko przigrzywa cudnie,
To już teraz są południe.

— Ja, ja już teraz spocząć muszę.

Chłopi teraz już spoczęli i kosy klepali.

A żydowska leży,
Nikt do niej nie bieży.

Kasper figlarz, jak nikt w świecie, porwał wreszcie kosę żydowską i klepie,

Bijąc tędy i tamtędy,
Aby ją wyklepał prędzej.
Tu się ostrze wykrzywiło,
Tam się zębów narobiło.

Jak ją inni opatrzyli, śmiali się i myśleli sobie:

Będzie kosił po południu,
Że podołać będzie trudno.

Obiady pozjadali, na ziemi polegali.

Teraz, Icku, przynieś wody,
Trzeba dla ochłody.

Icek na to:

Ja nie pójdzie, spocząć musię;
We mnie ledwie ziewa dusie.
Gdy się chwilę już przespali,
Tak na żyda zawołali:

Stawaj, Icku, do koszenia,
Bo dziś łąki nie skończyma.

Tu żyd ziewnął i przeciągnął się, spoglądając do słońca.

— Kiedy słońce jest w to miejsce — powiada — to łąkę skończyma jeszcze.

Jeszcze się chwilę przespali,
Nim do kośby powstawali.
Żyd stanął również na przedzie,
Lecz jakoś się mu nie wiedzie.
Kosa chociaż wyklepana,
To nie kosi tak, jak zrana.

Ale żyd tłucze tak jak może.

Chłopi z tyłu go niewolą;
Icka z kośby kolki kolą.
Kosząc długo ledwie żywy,
Rzucił swą kosę w pokrzywy.

Sam bezwładny padł na ziemię.

— Siądźcie, chłopi — powiada — na jużyna*).

Ja nie będzie kosić z wami,
Bo mam kolka za plecami.

— Bez ciebie się obejdziemy — powiadają — do wieczora to skosimy.

Ale za to sprawa krótka,
Niech na wieczór będzie wódka.

— Dam wam wódki — powiada — cztery litry, a wy skończcie łąkę.

Żyd nie kosi już do wieczora, zaraz wraca do domu, mówiąc przez drogę do siebie:

Jak ja księdzu nie żałował,
Tak on mi dnia prziciniował.

Chłopi łąkę wnet skończyli i do Icka pospieszyli; a gdy wódki się napili i zapłatę odebrali,

To z żyda się dość naśmiali,
Gdy do domu powracali.

I od tego czasu, w czasie koszenia łąk przed św. Janem (24 czerwca), dzień jest dłuższy, aniżeli w innej porze roku.

To mi opowiedział Kasper Nieprawdziecki

Z Wymysłowa,
Bo to była mądra głowa.

M. S., włościanin z Łopuszki.

---

*) Tak nazywa lud w naszych stronach podwieczorek.

Nieco o chowie drobiu.

(Ciąg dalszy).

O kurach.

Nie wiadomo, kiedy i w jakim kraju człowiek dzikie kury oswoił i na domowe zwierzęta zamienił. To tylko pewne, że musiało to stać się bardzo dawno, bo już najstarsze narody kurę znały i chowały ją jako zwierzę domowe. Prawdopodobnie z początku chowali ludzie tylko jeden, co najwyżej kilka gatunków czyli ras kur domowych. Z czasem dopiero powstało wiele ras, odznaczających się to wielką nośnością jaj, to łagodnością i skłonnością do nasiadywania, to wielkością i pięknością, lub też bardzo smacznem mięsem i łatwością w tuczeniu.

W naszym kraju u włościan spotyka się najpowszechniej zwyczajna kura swojska, u niektórych lub też po folwarkach można zobaczyć i inne kury jak: czarne kury swojskie, kochinchińskie, hiszpańskie, bramaputra i wiele innych. Z tych wszystkich odmian dla włościan najważniejszą jest i będzie zwykła kura swojska, trzeba tylko przez staranny, rozumny chów dobre jej własności utrzymać i zwiększyć, a wady usunąć.

Jeżeli chodzi o chów kurcząt na targ, wówczas lepiej trzymać kury białe z białemi nogami i takim dzióbem, bo mięso takich kur jest białe, delikatne, a w miastach takich kurcząt poszukują i drożej za nie płacą. Jeżeliby ktoś chciał mieć dużo jaj, powinien trzymać kury szare lub czarne, o ciemnych nogach i dzióbie, bo takie lepiej się niosą i łatwiej ujdą napaści jastrzębi. Kury, które mają ostrogi, jak u koguta, pieją podobnie jak kogut, uparte, złośliwe, są do chowu nieprzydatne, niosą się licho, jako kwoki źle naśladują jaja, często tłuką je i źle wodzą kurczęta. Również i tłustych kur najlepiej się pozbyć, bo przestają nieść lub niosą się rzadko kiedy. Dobra kura znosi w roku około 140 jaj, niekiedy do 200. Młoda kura w dziewiątym miesiącu zaczyna nieść jaja i niesie się do 4 lub 5 lat. Pierwsze jaja są maleńkie i do nasiadywania nieprzydatne. Najlepiej niosą się kury w drugim roku, w trzecim daleko gorzej, w czwartym lub piątym przestają się nieść prawie zupełnie. Do niesienia jaj należy przeto przeznaczać kury tylko do trzeciego roku, poczem usunąć je, lub przeznaczyć jako kwoki do nasiadywania jaj, bo starsze kury nasiadują chętnie i pilnie i wodzą dobrze kurczęta. Dobra kura niesie przez 4 lub 5 dni po jaju codziennie, przestaje jeden dzień, a następnie rozpoczyna niesienie na nowo. Zniósłszy kilkanaście jaj, okazuje chęć do nasiadywania, zaczyna odzywać się głosem kwokającym, przesiaduje w gnieździe na zniesionych jajach, lub przysiada na ziemi, jest gorącą i słabą w tym okresie. Gospodynie nasze nazywają ją wtedy kwoką. Źle robią po wsiach, iż kurę taką, gdy ją nie chcą przeznaczać do wysiadywania jaj, zanurzają kilkakrotnie w wodzie, bo kury takie, nagle oziębione, zaziębiają się i często giną. A chociażby taka zimna kąpiel przeszła bez szkody, to okazują później mniej chęci do nasiadywania. Najlepiej kurę taką wyrzucać z gniazda, uprzątnąć jaja zupełnie z gniazd, nie dopuszczać jej do kurnika, a po kilku dniach przestanie kwokać i zacznie się nieść. Dobra kura niesie się z większemi lub mniejszemi przerwami prawie przez cały rok, z wyjątkiem miesiąca września lub października, w których to miesiącach pierzy się i jest słabą. W zimie podczas wielkich mrozów, szczególnie gdy kurniki są zimne, również przestaje się nieść. Gospodynie mają zwyczaj, wypuszczając zrana kury z kurnika, macania, która jest z jajem i zamykania takowych w kurniku. Praktyka wykazała, że takie postępowanie jest o tyle szkodliwe, że kury takie nie chcą wysiadywać jaj. Gdyby zresztą i zwyczaj ów nie był wcale szkodliwym, to niepotrzebny jest zachód, bo przyzwyczajenie kur do niesienia jaj w jednem miejscu jest, jak później dowiemy się, łatwem i nie straci się napewno żadnego jaja. Kury żyją do 15 lat i dłużej, jednakowoż do chowu są przydatne, jak już powiedziałem, tylko do piątego roku.

Bez koguta niosą się kury równie dobrze, lecz z jaj takich nie wykluje się kurczę, bo brak w nich zalążka; są, jak gospodynie mówią, puste, natomiast do jedzenia są dobre. Kogut przeto jest potrzebny i należy baczną zwracać uwagę na jego wybór, bo jacy rodzice, takie będzie i ich potomstwo. Dobry kogut powinien być duży, mocny, wesoły i odważny. Głowę ma mieć z wielkim, ząbkowanym grzebieniem koralowo-czerwonym, podobnie jak i dwa płatki czyli dzwonki u brody. Oko duże, ogniste, dziób mocny, lekko wygięty, odnóża silne, pazury krótkie, mocne, ostrogi długie i ostre. Pióra pięknie połyskującej barwy. Ogon wachlowaty, środkowe dwa pióra długie, w kabłąb wygięte. Powinien odzywać się czystym głosem piejącym. Koguty, odzywające się głosem chrypliwym, mające pióra barwy jednostajnej, podobne do kurzych, ostrogi krótkie, tępe, oko smutne, bojaźliwe, są do chowu nieprzydatne. Jednemu kogutowi nie należy do wodzenia więcej jak 15 kur przeznaczać. Gdzie jest więcej kur, tam należy trzymać kilka kogutów, lecz w takim razie muszą być od młodości razem chowane, bo w przeciwnym wypadku nie znoszą się, prowadzą ustawiczne ze sobą walki i często kaleczą się niebezpiecznie. Kto nie chce, żeby kury jego z każdym rokiem były mniejsze, gorsze do chowu, niech nigdy nie trzyma koguta, wychowanego z jaj od własnych kur, lecz niech się postara o koguta z innego gospodarstwa, lepiej z drugiej wsi, bo kury, chowane w pokrewieństwie, karłowacieją, stają się mniejsze, gorzej się niosą i podlegają licznym

chorobom. Kogut z końcem pierwszego roku jest już zupełnie wyrosły i zdolny do rozpłodu, do czego może służyć najwyżej trzy lata, a więc w czwartym lub piątym roku należy go zastąpić młodszym.

(*C. d. n.*)

Wspomnienia starego Kobziarza.



Po onym odpuście w *Białej* zostałem na *Podlasiu* jeszcze do kopania ziemniaków. O niczem teraz ludzie nie mówili, tylko o tem, co car delegatom odpowiedział i co ona dziewczyna *Karmaszuka* prorokowała. Dobrze, że choć tę ulgę ludziska mieli. Po drogach, po polach, po łąkach, po lasach, po wsiach i po miastach — gdzie tylko dwoje ludzi się zeszło — wszędzie to samo gadanie: od odpowiedzi cara i onem proroctwie. Nawet jedni i ci sami, co koło siebie całe dnie i tygodnie byli i pracowali, nie przestawali prawie o tem mówić, bo zaledwie skończyli, już rozpoczynają na nowo.

— Ej! co tam głupia dziewczyna — powiada jeden — jak carowi nie będziemy wierzyć, to komu będzie wiara?

— Panów nie lubi, księży nie lubi — dodaje drugi — ale chłopom jeszcze nic złego nie zrobił.

— Czy mu to — powiada trzeci — nie płacimy podatków, jak się patrzy, albo nie dajemy rekrutów, albo nie słuchamy święcie jego praw i rozkazów?

— Czy to — powiada czwarty — buntowaliśmy się kiedy przeciw niemu, albo czy, Boże uchowaj, buntujemy się teraz?

— Prawda — powiada piąty — że car innej wiary, ale czy to mało ma schyzmatyków?

— Ej! bajki nic więcej — dodaje inny — niema się czego bać.

Więc niby wszyscy uspokojeni i rozweseleni; kobiety zaczynają nawet śpiewać.

Ale czy to ten sam śpiew, co dawniej? Słowa te same, nuty te same, ale cóż z tego, kiedy serce inaczej śpiewa. Choćby piosnka była nie wiedzieć jak wesoła, to drugi słyszy tylko smutek:

Serce moje, serce
Spokojne być nie chce,
Ino się trzepoce,
Jak rybka w potoce.
Pójdu ja do brodu, hlyną ja na wodu —
Oj, woda jasna, yno dola neszczasna!

Ale nawet tego smutnego śpiewania nie dużo. Wnet się urwie i znowu robią w milczeniu.

Za chwilę ten sam, co przedtem, zaczął rozmowę, spojrzał za Bug. Zobaczył cerkiew schyzmatycką. Stoi, patrzy, coś go za gardło ściska: westchnął i powiada:

— Ha! mocny Ty Boże! toć i tam była św. Wiara, a dziś co?

— Mój tatuś — dodaje drugi dużo o tem rozpowiadali, jak ich tam męczono.

— Dziw mnie bierze — powiada trzeci — że te słowa cara jakoś nie pocieszyły jegomościa. Jak był smutny, tak jest. Spowiada dniem i nocą.

— Po dworach — mówi czwarty — nigdy jeszcze smutniej nie było. To oni muszą coś wiedzieć.

— Jaka gdzie wiara, taka i prawda — odezwie się piąty.

— Nic innego — dodaje ktoś — tylko, że nam ginąć przyjdzie.

I znowu smutek wielki wszystkich przejmuje, a te same kobiety, które dopiero śpiewały, teraz płaczą, lamentują i dręczą mnie pytaniami:

— Franciszku, Franciszku, zmiłujcie się choć wy, Franciszku, i powiedzcie, co będzie?

A ja nieszczęśliwy, co mogłem im powiedzieć? chyba to tylko: Moi mili i drodzy ludzie, co się dziwić, że wy w takiem utrapieniu jesteście, kiedy i waszego świętego Pasterza, waszego Biskupa taka sama trwoga przejmuje. Ale jakże im to było powiedzieć? Ktoby miał sumienie zasmucać jeszcze ciężej już i tak zasmuconych? Więc pocieszałem ich tem, czem i sam siebie pocieszałem.

— Jużci to pewna rzecz — mówiłem — coś ty, Hryćku, powiedział, bo nie może być inaczej: jaka wiara, taka i prawda. Ale nieprawdę powiedzieć przed całym światem, to oprócz wiary nie byłoby także i wstydu żadnego w oczach. Mógł mi kto na to powiedzieć:

— Dobrze ty, Franciszku, gadasz, ale czy może

być wstyd w oczach albo honor tam, gdzie niema prawdziwej wiary?

Ale to nikomu wtedy przez myśl nie przeszło, tak samo, jak mnie, więc dalej powiadałem:

— Mamy przecież i Opiekuna, Ojca św. w Rzymie; mamy przecież i monarchów, którzy za Wiarą św. mogą się ująć. Nasz monarcha — powiadam — jest katolik i bardzo miłosierny pan. Francuski cesarz, nie wiem, jaki jest, ale wiem na pewno, że także katolik. Król pruski luter, ale słyszałem, że ludzki człowiek.

Wierzyłem w to, co mówiłem, święcie, a oni ludziska mało mnie po rękach nie całowali.

— Franciszku, Franciszku — wołali — was Pan Bóg wybrał nam na pocieszyciela. Powiedzcie, Franciszku, powiedzcie, złoty Franciszku, jeszcze raz, jak wy to myślicie, bo dobrze nie rozumiemy.

Rozumieli dobrze, bo coby nie mieli rozumieć, ale te moje słowa były dla ich dusz poranionych jakby oliwa i balsam dla onego Samarytanina, więc chcieli tego mieć jak najwięcej. O, moja Matko Boska! kto nie widział, jak tonący chwyta się brzytwy, ten mógł się tu napatrzeć do woli.

I oni ludziska tak się do mnie tulili, tak mnie na krok odstąpić nie chcieli, jakbym był jakim mocarzem świata, co ich wszędzie zasłoni i krzywdy zrobić nie da. Miałem odejść zaraz po żniwach, a zatrzymali mnie do kopania ziemniaków, a kiedy się i to skończyło, puścić mnie i na zimę nie chcieli.

A jakże tu było zostać? Trzeba było przecież zobaczyć żonę i dzieci i gospodarstwo zarobionym groszem poratować. Puścili mnie wreszcie, ale musiałem im solennie obiecać, że na przyszły rok znowu przyjdę. Płaczu było dość.

Wracałem na Lublin, jak zwyczajnie, a przez drogę sobie myślałem: Jeżeli się te nadzieje, którem im zrobił, dla jakichś przyczyn nie spełnią, to cóż ja biedny im powiem, gdy znowu przyjdę?

Wiadomości polityczne.

Roku 1870 *Prusy* pobiły *Francyę*, zabrały jej dwa kraje, kazały sobie zapłacić ogromną sumę kosztów wojennych. To *masonom* i ich *usłużnikom* posłużyło bardzo dobrze do tego, że znieśli we *Francyi* monarchiczne rządy a zaprowadzili *republikę*. Ludzie rozważni sprzeciwiali się temu, bo przewidywali stąd wielkie niebezpieczeństwa dla Kościoła i narodu, ale zażegnać złego nie zdołali. *Masonowie* i ich *usłużnicy* zwrócili się do klas najuboższych i zaczęli obiecywać złote góry, jeżeli republika się utrzyma. Wszelekie biedactwo stanęło naturalnie po ich stronie, bo czegóżby człowiek nie zrobił dla miłego chleba? Ale ci biedacy, których tam po wielkich miastach (jak w *Paryżu*) ogromna moc, nie mieli wielkiego wpływu na sprawy państwa i to *masonom* i ich *usłużnikom* tamowało wpływy. Poradzili sobie na to. Zaprowadzili powszechne, bezpośrednie, *socyalistyczne* wybory i tym sposobem z pokrzywdzeniem innych stanów zapewnili przewagę w państwie miejskiej halastrze bezbożnej i na wszystko gotowej, wiedząc, że nie kto inny, tylko oni będą nią dowodzili. I rzeczywiście wybory wszędzie wypadały odtąd na ich korzyść. Pokazało się jednak, że nawet między najniższą halastrą miejską Kościół ma wpływy i przeciw *masonom* bronić się może. Wzięto się tedy do zniweczenia Kościoła. Klasztory w znacznej części pozamykano, całe Duchowieństwo ścieśniono nieludzkiemi prawami, dobra kościelne porabowano, szkoły zamieniono na bezbożne czyli bezwyznaniowe: słowem zaczęto Wiarę św. tępić wszelkiemi sposobami. Bezbożnej gawiedzi miejskiej to wszystko się podobało, ale jej nie o to chodziło, ona żądała chleba i to oczywiście bez natężającej pracy. skądże tego chleba wziąść? *Masonowie* i ich *usłużnicy* Ale musieliby byli sobie zabrać, a tamtym dać. Na to oni nie byli głupi, a jeżeliby nawet wszystkim innym poodbierali majątki i między biedactwo rozdali, to i tak dla wszystkich byłoby za mało i nie starczyłoby na długo, a potem co? Gdyby *masonowie* i ich *usłużnicy* mieli uczciwość w sobie, byliby teraz do biedactwa uwodzonego powiedzieli: „Bracia kochani! pomogliście nam do tego, żeśmy zaprowadzili republikę i zniszczyli Kościół, więc bardzo wam za to wszystko dziękujemy, bo nam z tem dobrze, ale wy po dawnemu weźcie się do roboty, bo bez tego nie ma chleba na świecie ani w monarchii, ani w republice, ani w żadnym jakimkolwiek rządzie, czy bez rządu“. Ale gdzież i kiedy *mason* i jego *usłużnik* miał jaką uczciwość w sobie?! Więc przy każdych nowych wyborach sypały się coraz lepsze obietnice i coraz gorsi ludzie przy wyborach wychodzili, aż wreszcie doszło do tego, że rządy nad Francyą objęli sami *radykaliści* i *socyaliści*, najniższy prawie rodzaj *masońskich usłużników*. Ale oczywiście i ci bez usilnej pracy chleba dać nie mogli, a sobie pomagali w ten sposób, że zaczęli okradać banki. Wyniknął z tego obrzydliwy proces, z ktorego okazało się, że panowie ministrowie i posłowie są zwyczajnymi oszustami i złodziejami. Więc ani republika, ani powszechne głosowanie, ani zniszczenie Kościoła chleba bez pracy nie dało: biedak został biedakiem, zyskali tylko sprytni oszuści, co złote góry obiecywali, choć naprzód wiedzieli, że tego nie będą mogli dotrzymać. Mimo republiki, mimo powszechnego głosowania, mimo zniszczenia Kościoła zostali *socyaliści* i teraz dopiero zaczęło się pokazywać, do czego oni dążą: do zniszczenia wszystkiego i wszystkich.

Nieraz już *Krakus* donosił o rozmaitych ich zbrodniach: w *Hiszpanii*, w *Anglii* i *Francyi*, lecz ta, której świeżo dopuścili się w *Paryżu*, kto wie, czy nie

jedna z największych przynajmniej w zamiarach, jeżeli nie w skutkach.

Właśnie dnia 9 go grudnia, kiedy w parlamencie francuskim byli zgromadzeni posłowie całego narodu, wszyscy ministrowie i moc ludu na galeryach, jeden socyalista rzucił *bombę*, która ze strasznym hukiem wybuchła. Przypadek tylko zrządził, że nie wyginęli wszyscy. Ale ranionych ciężko i lekko jest wielka ilość, parlament zamienił się na kilka godzin na szpital, dokąd biegli zewsząd lekarze, a skąd słychać było tylko jęki nieszczęśliwych. Dotąd jeszcze nieznana jest liczba poranionych, ofiary śmierci także będą. Między ciężko rannymi jest jeden ksiądz. Oto rządy *masonów* i ich *usłużników*, oto dążności i cele *socyalizmu* — zniszczyć wszystko na świecie.

A kiedy *masonowie* i ich *usłużnicy* zbierają takie owoce swych kłamstw i czczych obietnic, Duchowieństwo francuskie, choć uciśnione strasznie, rozwija swoją błogą działalność: zakłada towarzystwa i bractwa i spieszy wszędzie z materyalną i duchową pomocą, nie z czczą obietnicą. Kto zwycięży, łatwo zrozumieć. Ja jestem z wami — powiedział Chrystus Pan — po wszystkie dni aż do skończenia świata. Gdzie Zbawiciel, tam i zwycięstwo, tylko, że każdy musi wziąść krzyż swój i iść za Nim.

Wiadomości i listy od Czytelników i Przyjaciół „Krakusa“.

Krowica Sama. Wspólna szkoła dla gmin Krowicy Samej i Hołodowskiej w powiecie Cieszanów od kilku lat doznaje różnych dobrodziejstw od JW. p. Adama Federowicza, właściciela dóbr ziemskich, c. k. Radcy Namiestnictwa i Starosty rzeszowskiego. Dobrodziejstwa, których doznaje szkoła, sypią się rokrocznie jak z rogu obfitości z rąk JW. p. Federowicza. Nie mówiąc o mniejszych datkach, dosyć jest wspomnieć, że jego kosztem został wysłany nauczyciel na kurs zręczności do Sokala, a w tym roku ofiarował mórg pola ze swych łanów dla użytku szkoły. Dar to znacznej wartości, który podniesie dobrobyt nie tylko szkoły, ale i nauczyciela po wieczne czasy. Trudno jest nie wypowiedzieć tego, co czuje serce, a patrząc się na tych maluczkich, z jaką ochotą i przejęciem zajmują się wyrobami. Jakżeż Ci nie dziękować! W imieniu też maluczkich składamy Ci JW. ofiarodawco szczere Bóg zapłać, a przykład Twój niech gorąco rozgrzewa serca mogącym nieść podstawie wszystkiego to jest oświacie i urzeczywistni słowa: „Oby więcej było takich“.

Rada szkolna miejscowa:

Hilary Stroński, nauczyciel. *X. Teofil Harasowski*, przewodniczący.

Stwierdzając prawdziwe słowa, przez Radę szkolną miejscową wypowiedziane, i my Ci dziękujemy dobroczyńco za dary dla naszej szkoły i naszych dzieci, a przykład dobrego gospodarstwa, jakie zaprowadziłeś u siebie przez wprowadzenie sztucznych nawozów, łubinu, kainitu i żużli Thomsa poznaliśmy, że matka nasza ziemia piaszczysta wyżywić nas potrafi i z biedy wyciągnie, jeżeli o nią troskliwie dbać będziemy. Oby Ci Bóg wynagrodził za dobry przykład dobrodzieju i na długie lata w czerstwem zdrowiu nam Cię zachował, a Rada gmin obydwu, zebrana w dniu 26 listopada b. r., przez powstanie odddaje Ci cześć i poważanie.

Zwierzchność gminna Krowicy Samej i Hołodowskiej:

Dmitro Chomiszyn, wójt z Krowicy Samej; *Michał Bojarski*, *Hawryszko Owerko*, radni. *Jan Pukas*, wójt z Krowicy Hołodowskiej; *Piotr Chomiszyn*, *Pawło Mslan*, radni.

NOWINY.

— **Rada państwa** w Wiedniu załatwia teraz sprawę owego małego stanu oblężenia w Czechach.

— **Sodalicya maryańska.** Pod tą nazwą zawiązali między sobą obywatele wiejscy przed rokiem bractwo N. Maryi Panny. O tem bractwie piszą z Brzozowskiego: W Starejwsi obchodzono z wielką uroczystością w dniu św. Stanisława Kostki pierwszą rocznicę sodalicyi maryańskiej. X. Biskup Glazer, pomimo słoty i niezupełnego zdrowia, przybył na dzień ten umyślnie z Przemyśla. Na pierwszej już Mszy rannej liczny zastęp sodalisów pod przewodnictwem swego prefekta p. Augusta Gorayskiego przystępował do wspólnej Komunii św., a ślubowania składali nowo-wstępujący kongreganiści z dalszych przeważnie stron wschodniej Galicyi. Sumę odprawił X. Biskup, a podczas Ewangelii św. wyciągnęli sodalisi karabele z pochew, podług dawnego obyczaju, a na znak, że gotowi umrzeć w obronie Wiary św. W roku tym podwoiła się niemal liczba braci maryańskich; z rzeszowskiego, bobreckiego, rohatyńskiego wpływają nowe zgłoszenia. Pp. Bronisław Ujejski ze Strzelisk, Jan Czajkowski z Pietniczan, poseł Stanisław Jędrzejowicz z Jasionki i wielu innych najpoważniejszych obywateli, gorliwie pracują już nietylko nad rozszerzeniem bractwa, lecz nad założeniem nawet osobnych kongregacyj po obwodach, a na naradach postanowiono starać się o utworzenie w przyszłości centralnego biura sodalicyi maryańskiej. Pracę nad ludem i szerzenie katolickiej oświaty postawiono sobie na razie jako najważniejszą część programu działania, a z podjętych usiłowań sprawę wzajemnie zdać sobie mają pp. sodalisi w marcu roku przyszłego, gdy ponownie zbiorą się na kilkodniowe wspólne rekolekcye.

— **Miłość braterska.** W Lipnicy Wielkiej ad Grybów zmarła d. 9 listopada staruszka, rodzona siostra jednego z najzamożniejszych gospodarzy, z nędzy i głodu, od plugastwa za życia toczona, w cudzym domu, bo w szpitalu wiejskim, w którym się mieszczą sługi kościelne, bez ostatniej pociechy religijnej, bo bez św.

Sakramentów. Jakiż smutny widok przedstawił się moim oczom, zobaczywszy jej trupa na drodze. Któż to jest? zapytałem. — Panie! to siostra Marka, była odpowiedź. Dlaczegoż nie odprowadzicie zwłok do kostnicy lub na cmentarz? Dwie stare kobiety rady nie damy. Czy Marek wie o tem? Mówiłyśmy mu, ale ramionami tylko ruszył. W ten sposób umarła mu już druga jego siostra, daremnie wyczekując litości od brata. Odszedłszy, pomyślałem sobie: Jacy to niektórzy ludzie bez litości i serca! *L. S.*

— **Z myślenickiej parafii.** Dzięki Bogu, mamy w myślenickiej parafii bardzo dobrych księży. Przewielebny X. Proboszcz stara się usilnie o nasze doczesne i wieczne dobro. Za jego staraniem mamy śliczne organy, prawie wszystkie ołtarze zostały ozłocone, a teraz myśli o odnowieniu kościoła. Robota ma się rozpocząć, jak Pan Bóg dopomoże, w roku 1894. Sprowadził nam także XX. Misyonarzy, co mieli bardzo ładne nauki czyli kazania, a to bardzo wiele przyniosło dobrego. Wielu zaprzestało pijaństwa, skarg i t. p. Odwiedza pilnie szkoły, wspomaga biedne dzieci i ubogie wdowy i ludziom przystępny, za co niech go Bóg błogosławi, udziela mu zdrowia i pomyślności w najdłuższe lata. *P. L.*

— **Niemądry czy niesumienny wójt.** U nas w Stróży dawny wójt wybierał podatek i gdzieś mu się podział. Gdy stanął do obrachunku w urzędzie podatkowym, jakoś się wytłómaczył. Pisarz jednym książeczki zakwitował, drugim nie. Teraz egzekutor przyszedł i biednych ludzi fantuje, bo są wykazani przez tamtego wójta, jakoby nie zapłacili. Teraźniejszy wójt Jan Śliwa ma z tem wiele kłopotu. *W. H.*

— **Zamach socyalistów w Paryżu.** Sprawcę tego zamachu, o którym piszemy w *Wiadomościach politycznych*, już pochwycono, był on między rannymi. Posłów rannych jest bardzo wielu, między nimi prezydent parlamentu. Bliższych szczegółow jeszcze nie znamy. O nowym zamachu donoszą także z Hiszpanii.

— **Jak się robi igła?** Najpierw ze sztaby stalowej trzeba zrobić drut. Potem nawija się na bębenki drewniane tak, jak nici do maszyny bywają nawijane, a wtedy robotnik rozcina bębenek z drutem i otrzymuje dużo kawałków drutu jednakowej długości. Następnie niosą te kawałki drutu do maszyny, która je znów kraje na kawałki takiej długości, jakiej długości mają być igły. Ztąd idą do innej maszyny, a ta je prostuje. Gdy są kawałki drutu wyprostowane, przechodzą do szlifierza, a ten z dwóch stron ostrzy. Te kawałki zaostrzone przechodzą do robotników innych i ci z jednego końca młotem spłaszczają ostrza, a w każdem spłaszczeniu wybijają po dwie dziurki na uszka. Od nich niosą igły do innej sali. Tam przecinają każdy drut na dwie części i robią dwie igły. Lecz jeszcze nie koniec. Zaostrzone i mające już uszka zanoszą do hartowania, ztamtąd znów do robotników, którzy uszko wygładzają, aby nie było za ostre, potem tam gdzie je czyszczą, składają na tuziny — pakują i wywożą na sprzedaż. Każda igła musi przejść przez ręce 100 robotników. W niektórych fabrykach angielskich wyrabiają na tydzień 100 milionów igieł.

Ceny zboża
(z targu na Kleparzu).

Kraków 12 grudnia.

Płacono: za pszenicę białą od 7 złr. 70 ct. do 8 złr. 30 ct., za czerwoną od 7 złr. 50 ct. do 8 złr. 10 ct., za żółtą od 7 złr. 50 ct. do 8 złr. 10 ct., za żyto od 6 złr. 35 ct. do 6 złr. 60 ct., za jęczmień browarny od 6 złr. 50 ct. do 7 złr. 25 ct., na paszę od 5 złr. 35 ct. do 5 złr. 70 ct., za owies od 6 złr. 35 ct. do 6 złr. 80 ct., za rzepak od 12 złr. 75 ct. do 13 złr. 65 ct. — Wszystko za 100 kilogramów.

Kalendarzyk tygodniowy.

Dnia	Święta rzymskie	Wschód słońca		Zachód słońca	
		god.	min.	god.	min.
17	*Nied. 3 Adwentu.* Łazarza b. i Wiwiny.	7	36	3	37
18	Pon. Oczek. pł. N. Maryi P. i Olimp.	7	37	3	38
19	Wt. Faustyna i Nemezyusza.	7	38	3	38
20	Śr. *Such.* Teofila męczennika.	7	38	3	38
21	Cz. *Tomasza apostoła.*	7	39	3	39
22	Piąt. *Such.* Zenona męczennika.	7	39	3	39
23	Sob. *Such. Wigilia.* Wiktoryi p.	7	39	3	39

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:

Ksiądz Wawrzyniec Oprzędek.

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.